

Jak przyszpilić konserwatystę [FELIETON]

Już w połowie XIX wieku zaczęły szczerkać cyrkle, chrzęścić stalowe taśmy miernicze, stękać sprężyny mandibulometrów, mierzących kąt rozwarcia żuchwy. Stalowe stopki tak nieprzyjemnie chłodziły ciemię. Antropometry od lat zdejmują miarę z człowieka. Ale dopiero twórcy systemów rozpoznawania twarzy mają ambicję zdjęcia miary również z duszy – pisze Wojciech Stanisławski w kolejnym felietonie z cyklu „Barwy kampanii”.

Chęci były, jak zawsze, szlachetne – i, jak się okazuje, znakomicie sprawdzające się w roli budulca dla brukarzy. Pierwszych systematycznych pomiarów ciała pacjentów dokonywali pediatrzy i ortopedzi, postrzegający szkielet jako pewien system, nie tylko sumę kości, dostrzegający nieprawidłowości rozwojowe i możliwość ich oceny na podstawie tego, czy prawidłowe są proporcje palców, łopatek i łydek.

Z czasem do gry włączyli się reformatorzy policyjni i wówczas cała sprawa trochę się skomplikowała. W połowie XIX wieku coraz większym wyzwaniem okazywało się ustalenie prawdziwej tożsamości podejrzanych, uciekinierów lub więźniów. Wyższy oficer policji paryskiej Alphonse Bertillon jako pierwszy sięgnął w tej sytuacji po ustalenia anatomów. Jeśli zestawić kilkanaście zmiennych (obwód głowy, długość stopy, małego palca, ucha) – w sumie wystarczą one, by zidentyfikować nawet Arsen Lupina i Fantomasa.

Rozwiązanie pana komisarza podchwyciły z radością wszystkie policje europejskie (świadczy o tym i spolszczenie tego systemu jako „bertilonaż”), z czasem jednak entuzjazm zaczął słabnąć: nie wszyscy funkcjonariusze przykładali się do pomiarów należycie, tak łatwo pomylić się o milimetr, i kiedy zauważono, że do utrwalenia niepowtarzalnych linii papilarnych wystarczy poduszczecka z tuszem, wszyscy odetchnęli z ulgą. Rozpocząła się już epoka produkcji taśmowej i instrumenty pomiarowe przejęli z przyjemnością specjaliści od wzornictwa przemysłowego, bardzo ciekawi, ile wynosi średnia szerokość populacji w biodrach.

„Opis” twarzy sporządzony zgodnie ze standardem VGG-Face Dataset odnotowuje 2.048 punktów charakterystycznych oraz odległości między nimi. Za sprawą VGG krócej czekamy w kolejce na lotnisku, a chińska policja potrafi w dwie minuty rozpoznać i zesłać do łagru każdego Ujgura

Znacznie wytrwalej i bardziej szczegółowo badano czaszkę, od zawsze fascynującą, najpierw jako symbol śmierci, potem – bunkier umysłu. Pokolenia frenologów, wpatrzone w mistrza Lavatera, przekonane były, że rozstaw oczu, uszu, wypukłości potylicy świadczą o

szczególnych uzdolnieniach lub przywarach – starali się więc opisać je coraz dokładniej. Pierwsze kraniometry opatentowano w połowie XIX wieku, a pod jego koniec anatomowie wyróżniali już kilkadziesiąt punktów pomiarowych. Basion – przecięcie płaszczyzny pośrodkowej z

przednią krawędzią otworu wielkiego kości potylicznej. Pterion – miejsce połączenia czterech kości: czołowej, ciemieniowej, skroniowej i klinowej. Czytana na głos pełna lista tych punktów brzmi (przynajmniej w uszach kogoś, kto nie zna greki) niemal jak katalog okrętów w „Iliadzie”, tak wyraźny jest helleński zaśpiew. Posłuchajcie: akanthion, asterion, beston, condinon, euryon, fronton, inion, obelion – i tak aż po zygion.

O, niehelleńskie jednak sztuczki praktykowano, gdy już wykreślono na twarzy i czaszce kilkadziesiąt linii, wyznaczających ludzki los. Wówczas bowiem – witamy panów eugeników! – okazało się, że proporcja odległości basion-bregma oraz dakryon-nasion to nie są takie sobie rozmiary, przydatne tylko przy doborze oprawek albo kapelusza. Okazało się, że (statystycznie) mogą one być swoiste dla rasy. Te zdjęcia, które tak niełatwo się ogląda – papuzi dziób suwmiarki wetkniętej w szczecinę pod wydatnym nosem Ormianina, szpony cyrkla kabłąkowego obejmujące delikatnie, niczym jajko, skronie krawca mężczyźnianego z Łomży – to są właśnie igraszki panów antropologów z lat Wielkiej Wojny 1914-1945.

Tyle było tych zdjęć załączanych do aktów oskarżenia w Norymberdze, że po wojnie już nie bardzo chciano się nimi chwalić. Głęboko też do szuflad schowano wyniki pomiarów, które mogłyby cokolwiek powiedzieć o tym, jak ma się odległość basion-bregma do pochodzenia babci. Ale przecież nie tylko rękopisy nie płoną, nie płoną również tabele antropometryczne. Ja nie złamię sekretu, koteczku, ale kto przekartkuje trochę przedwojennych czasopism medycznych, łącznie dowie się, czy lepszy wygląd zawdzięcza się czaszce dolicho- czy brachycefalicznej, z jakim wskaźnikiem czołowo-jarzmowym (index frontozygomaticus) warto jechać na wycieczkę do Anatolii.

Kraniometria rozwijała się jednak nadal, jednako niezbędna chirurgom, dentystom i projektantom. Zdefiniowano kilkadziesiąt nowych punktów antropometrycznych na skórze głowy (szczególnie niepowtarzalne okazuje się ludzkie ucho: gdyby nie kłopot ze zmyciem tuszu, już dawno pobierano by w aresztach odcisk z małżowiny). Opatentowano skalę kolorystyczną tęczyówek Martina (kilkadziesiąt szklanych krążków, wybarwionych subtelnie niczym szkła z Murano) i skalę barw włosów Fischera-Sellera (bledną przy niej wszystkie skalpy Dakotów).

Stworzony przez prof. Michała Kosińskiego algorytm rozpoznawania twarzy jest w stanie z trafnością rzędu 72% określić na podstawie zdjęcia orientację polityczną badanego według podstawowej amerykańskiej opozycji binarnej: liberał-konserwatysta

A potem wynaleziono systemy rozpoznawania twarzy na podstawie zdjęcia. Trochę to trwało, zanim opracowano metodę odczytywania przez algorytm zdjęcia zrobionego z ręki, nie w laboratorium, ale w końcu się udało.

Standaryzowany „opis” twarzy sporządzony zgodnie ze standardem VGG-Face Dataset odnotowuje 2.048 punktów charakterystycznych oraz odległości między nimi: co im tam pterion! Za sprawą VGG krócej czekamy w kolejce na lotnisku, a chińska policja potrafi w dwie minuty rozpoznać i zesłać do łagru każdego Ujgura; to są znane sprawy, nie ma potrzeby się o nich rozpisywać.

Warto napisać natomiast o wynikach badań naszego rodaka Michała Kosińskiego, o których doniosło styczniowe wydanie *Nature*. Prof. Kosiński, wykładowca Stanfordu i jeden z najwybitniejszych specjalistów od psychometrii, od lat bada (z przerażeniem raczej niż z entuzjazmem) nowe możliwości opisywania człowieka przy pomocy pozostawianych przezeń cyfrowych śladów. Stworzony przezeń algorytm rozpoznawania twarzy jest w stanie z trafnością rzędu 72% określić na podstawie zdjęcia orientację polityczną badanego. Oczywiście, może nie na poziomie subtelności, jakiej wymaga różnicowanie entuzjastów Joachima Brudzińskiego i Jacka Sasina, lecz według podstawowej amerykańskiej opozycji binarnej: liberał-konserwatysta.

72 procent to niby jeszcze nie sto i naiwni mogą ludzić się, że coś niecoś da się ukryć pod zarostem lub tatuażem. Prof. Kosiński zwraca jednak uwagę, że nawet najbardziej finezyjne testy psychologiczne, przy pomocy których usiłowano w sposób pośredni określić poglądy badanego, wykazywały trafność rzędu 66%. A poza tym – nowy algorytm dopiero się uczy.

Badacz zadbał przy tym oczywiście o uwzględnienie wszystkich proporcjonalności i zmiennych, których wymaga statystyka. Nie trzeba w końcu kilku terabajtów danych, by domniemywać (choć oczywiście można się przy tym nieźle nabrać), jakie sympatie polityczne może mieć mężczyzna z krótko przyciętym, kwadratowym wąsem lub fioletowłosa nastolatka. Nie, zespół prof. Kosińskiego najpierw nakarmił komputer milionem zdjęć osób wszelkich ras i stylów, które zadeklarowały swoje poglądy polityczne. Po ich przetworzeniu zaś i wykryciu niedostępnych naszym oczom korelacji testował ten system

na kolejnym milionie zdjęć, dobierając je w możliwie podobne wiekiem, fryzem i karnacją pary. Badacz podkreśla, że nie ma żadnej prostej zbieżności między poglądami a wyrazem twarzy, choć zdradza, że liberałowie częściej kierują wzrok wprost na aparat fotograficzny, podczas gdy konserwatyści (czemu skądinąd trudno się dziwić) częściej mają zde gustowany wyraz twarzy.

Kosiński zwraca uwagę, że nawet najbardziej finezyjne testy psychologiczne, przy pomocy których usiłowano do tej pory w sposób pośredni określić poglądy badanego, wykazywały trafność rzędu 66%

Ponieważ technologia szybko idzie naprzód, nietrudno domyślić się, jakie będą konsekwencje upowszechnienia i kalibracji algorytmu Kosińskiego. Nowe rozwiązanie poważnie odciąży budżety policji

politycznych w krajach niedemokratycznych, w demokratycznych zaś zlikwiduje potrzebę organizowania wyborów. Wystarczy popatrzeć na trochę większą skalę w, jak powiedziała by Barańczak, oczy potrąconych przypadkowo przechodniów z podniesionym kołnierzem.

Taka sytuacja ma oczywiście swoje plusy. Zaniknie lizusostwo i serwilizm, nikt nie będzie już musiał swojej twarzy w szczerę głąć uśmiechy rozmawiając z ministrem czy dyrektorem – prawda i tak wyjdzie na jaw. Niewykluczone, że większość debat politycznych sprowadzi się do pojedynków na miny, co ostatecznie potwierdzi geniusz Gombrowicza.

Co jednak z tymi, którzy rozpaczliwie bronić się będą przed kraniometrycznym przyszpileniem, a jednocześnie nie w smak im będzie użycie woalki i wachlarza? Tym pozostaną grymasy, tak upiorne i niezwykle, że nawet VGG-Face Dataset okaże się bezradny. Wszystkim *freedom fighterom* polecam więc odkurzyć albumy zdjęć Witkacego. Sam od dłuższego czasu ćwiczę przed lustrem wywalanie języka na brodę, mając jedynie nadzieję, że algorytm skojarzy ten gest raczej ze Stefanem Kisielewskim niż z Miley Cyrus.

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

